



FOT. ANDRZEJ KAROLAK

Rozmowa z Krystyną Jandą

TEN NAGŁY BŁYSK

bleźność. Jeszcze nie przeżyłam tego prognozy. I to mnie bardzo niepokoi.

— Ktoś się chyba z Panią martwi o to samo, scenarzysta, reżyser?

— Oni mają w tej chwili tyle na głowie, że nie sądzę, aby mieli czas o tym pomyśleć. Wszystko będzie zależało od tego czy zdołam sama uprawdziwić motywację Agnieszki. Jeżeli nie będzie to naprawdę dramatyczne opuszczenie głowy, to cała rola będzie nieprawdziwa i nieważna. Zrobiłam sobie takie założenie: odwaga Agnieszki na pierwszej sceny bo zaczynam znowu od sceny na korytarzu w telewizji, powinna zmienić się w histerię z niemożności i ta histeria dopiero powinna się przerodzić w gorzkie opuszczenie głowy i kompletnej bezsilności. To by chyba to założenie uprawdziwiło.

— Pani wchodziła w „Człowieku z marmuru” w całą sprawę zupełnie spontanicznie, jako osoba której motywacje działania czy agresji są podświadome, nie w pełni dojrzałe, dziś już nie są dla Pani najważniejsze sprawy ambicjonalno-zawodowe, dziś chodzi Pani o coś więcej.

— Tak, ja tu jestem o wiele dojrzałsza, i bardzo pomogło mi moje filmowe dziecko Kobieta, która staje się matką, nawet jeżeli jest to Agnieszka z *Człowieka z marmuru* to już nie jest ten sam człowiek. Coś się w niej psychicznie zmienia. Chcę zawiązać cały ten dramatyczny węzeł środkowy właśnie na dziecku. Staje się ono w pewnym momencie zagrożone i z tego zagrożenia wynika decyzja.

— Czy w momencie kiedy Pani zostaje zmuszona do rezygnacji z walki, ma Pani poczucie pełnej klęski, czy też świadomość, że ktoś tę walkę podejmie za Panią i tę klęskę łagodzi?

— Założenie filmu jest takie, że syn dorównuje formatem ojcu, a więc sprawa Birkuta już mnie nie zajmuje, ponieważ mam jego syna. To jest naturalne że w momencie kiedy Agnieszka dostaje takiego mężczyznę, spokojnie zdaje się że we wszystkim na niego. Sprawa zaprzestania walki nie jest już tak dramatyczna. Ja jako Agnieszka oddaję pałeczkę jemu. Założenie jest bardzo szlachetne, motywacje psychologiczne prawdziwe. I ja to oczywiście rozumiem, tylko...

— „...dlaczego ja się urodziłam kobietą”...
Taki?

— Otóż to właśnie!

— W „Człowieku z marmuru” Birkut był tylko mitem, teraz Pani opuszcza głowę przed żywym człowiekiem.

HANNA KAROLAK: Jest godzina 12.00. O 16.30 odlatuje samolot do Gdańska. Wpada Pani na chwilę do domu, by znów wracać na plan filmowy. Nie sposób więc, byśmy nie porozmawiali o Agnieszce, Pani roli w „Człowieku z żelaza”. Czy jest to dla Pani zadanie czysto profesjonalne, udział w jednym więcej przedsięwzięciu artystycznym?

KRYSTYNA JANDA: Wiem dokładnie w jakim filmie biorę udział, wiem dokładnie co ten film znaczy i w związku z tym odczuwam na sobie wszystkie te obciążenia, które ma Andrzej Wajda i chyba cała nasza ekipa. Jest to uczucie strachu i paraliżującego poczucia odpowiedzialności. Tym większe im większe wrażenie zrobili na nas ludzie, o których ten film mówi. Nikt nie był w stanie wyobrazić sobie tego wczesnej Siedząc tu w Warszawie, nie wyjeżdżając na Wybrzeże, na pytanie jak sobie wyobrażam tych ludzi powiedziałabym wszystko tylko nie to, co zobaczyłam, co usłyszałam w tym jednym krzyku „Le-chu” Chryste Panie, to? to jest sen o polskim bohaterstwie! Moje wyobrażenia nie były aż tak śmiałe nie myślałam, że oni są aż tak wspaniali, odważni, swobodni, pewni siebie. To jest zupełnie nowy styl, nowy sposób myślenia to są ludzie jak z „Konwoju”, oni się nie boją, nie mają wątpliwości. Ale teraz jak to zagrać!!!

— Trudno nie zrozumieć Waszych obciążeń skoro nawet filozofia jest tu bezsilna nie mogąc określić tego co się stało w żadnych kategoriach Profesor Suchodolski wraz z innymi profesjonalistami reprezentującymi dyscyplinę filozofii człowieka zastanawiał się co zrodziło tych ludzi, bo przecież nie szkoła, nie partia, nie system.

— A jednak oni mają pewność, że nie są sami. I to jest cudowne. Za każdym z nich stoi tłum a ten co go reprezentuje musi się sprawdzić. Jest w nich determinacja i bezwzględność...

— I nie możecie zawieść tych ludzi, bo oni wam zaufali.

— Jestem pewna, że jeśli zrealizujemy film nieprawdziwy to nas oplują na ulicy i będą mieli do tego prawo. To jest nieprawdopodobny pressing. Dlatego jeśli nawet to, co stworzymy pójdzie na półki, chcemy mieć wewnętrzną pewność, że zrobiliśmy film prawdziwy.

— Ale Pani rola przechodzi jakby obok tej całej sprawy...

— Kurczę, po co ja się urodziłam kobietą! Gdybym była mężczyzną nie miałabym takich problemów, nigdy nie mogę grać roli, którą naprawdę rozumiem. I to teraz, kiedy narodził się w Polsce prawdziwy mężczyzna ja nie mogę go zagrać. Tylko raz mi się udało w *Człowieku z marmuru* zagrać jakby

poza pić, ciągle ta kobieta i kobieta, stereotyp, który egzystuje, na ten temat.

— I w dodatku tym razem gra Pani, kobiecie pokonana. Czy przy Pani aktywności wewnętrznej, taka pasywność nie jest zadaniem aktorskim ponad siły? Czy Krystyna Janda nie buntuje się przeciw tej nowej Agnieszce?

— Od roli Agnieszki w *Człowieku z marmuru* wszystkie moje role były w założeniu pasywne. Tu Andrzej Wajda powiedział mi wyraźnie: chcę, żebyś na oczach widzów, przeszła w tym filmie z Agnieszki w dziewczynę z *Dyrygenta*. To jest twoje zadanie.

— Ale dziewczyna z „Dyrygenta” tę pasywność sama wybrała. To była jej mądrość, jej sposób dawania siebie, kochania, a pasywność z wyboru to już zupełnie co innego.

— Oczywiście. Natomiast rola nad którą teraz pracuję jest dla mnie najtrudniejszym zadaniem aktorskim z jakim się dotąd zetknęłam. Agnieszka w *Człowieku z marmuru* to był błysk, nad tym się nie zastanawiałam, nie miałam żadnych wątpliwości jak to zagrać. Wykonałam dokładnie polecenie reżysera. Miałam unieść na sobie pół filmu. Miałam być kimś. Niezależnie od tego, czy publiczność mnie pokocha czy zniechęciła. Zagrałam to środkami jakie były we mnie, bo wtedy jeszcze nic nie umiałam. Teraz, po tych czterech latach, jestem już zupełnie inną kobietą, najlepszy dowód, że Wajda zaproponował mi później rolę w *Dyrygencie* wierząc, że to nowe zadanie zrealizuję.

Grając rolę Agnieszki w *Człowieku z żelaza* martwiłem się tym, że trzymając się scenariusza nie zdolam utrzymać tej postaci, w pewnej ekspresji dramatycznej, a myślę, że jeśli nawet Agnieszka przechodzi na pozycje pasywne to musi się to „odbyć” bardzo dramatycznie. Dziewczyna jaką stworzyłam w *Człowieku z marmuru* nie zmieniła się nagle i bez powodu, musi mieć po temu wyraźne uzasadnienie, a takiego uzasadnienia na razie w scenariuszu nie widzę. W związku z tym muszę sama wymyśleć sobie coś co mnie skopie psychicznie, co mnie złamie, co mnie zmusi do bierności.

— A może Pani do tego po prostu dojrzeje, może Pani coś zrozumie?

— Nie wiem, może uznaję, że jest to jedyna droga wyjścia żeby uratować coś więcej? Jeszcze w tej chwili nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Jak dotąd zagrałam z tej roli sceny, które dotyczą *Człowieka z marmuru*, a więc tkwią jeszcze w tamtej ekspresji, mam też już z sobą końcówkę filmu i martwię się o ten środek, bo między początkiem, a końcem jest olbrzymia róż-

— Bo uznaję że jest to właśnie mit, który ożył i trzeba mu się podporządkować. Zresztą moja rola zaczyna się wyrzuceniem mnie z telewizji i absolutną groźbą bardzo poważnych konsekwencji w razie dotknięcia się jakiegokolwiek aparatu fotograficznego. W związku z tym jadę na Wybrzeże z rozpaczy, nie spodziewając się, że z tego wyjazdu zrodzi się uczucie, bardzo piękne.

— To wszystko robi Agnieszka, ale Pani żywiołem jest właśnie walka.

— Myślę, że najważniejsze to czegoś bardzo chcieć, a jeśli chce się czegoś naprawdę to się o to walczy.

— To nie jest dla wszystkich takie oczywiste...

— Gdybym tak nie myślała nie byłabym tym kim jestem.

— A więc należy Pani do tych, „którzy nie wiedzą, że nie się nie da zrobić”... Przez cały okres studiów w szkole teatralnej studenci są pielęgnowani a czułością i starannością jak niemowlęta w inkubatorze. Na was się dmucha, penetruje wasze wnętrza, analizuje możliwości. Potem idziecie do teatru i jesteście zdani już tylko na siebie jako jeden z wielu elementów tego teatru.

— I to jest chyba oczywiste, Człowiek, który kończy szkołę teatralną jest już dojrzały, ma te dwadzieścia dwa lata i musi sobie zdawać sprawę z tego, że nikt nie będzie go całe życie prowadził za rękę. Jest to naturalne, że w szkole wszyscy się nami zajmują, bo to jest ich zadanie. Za to dostają pieniądze by maksymalnie wglądać w nasze dusze. Ale nie widzę powodu żeby się ktoś nade mną rozczulił wtedy, kiedy tę szkołę opuszczę. Jestem dorosła i muszę sobie radzić sama. Profesorowie w szkole na nas chuchają, to prawda, ale jeśli się samemu nie pracuje i nie ma własnego zdania to i potem też się nie ma własnego zdania. Studentowi, który przychodzi do Szkoły Teatralnej trzeba uświadomić, że Szkoła nie jest od tego by go nauczyć zawodu, tylko żeby mu dać salę, wytyczyć kierunki i udzielać wskazówek. Jest to warsztat do jego samodzielnej pracy. Nikt go nie nauczy jak być aktorem, ani nie powie jak grać. I albo ktoś wykorzysta tę wolną salę i trzy godziny z profesorem, albo będzie czekał, że ten profesor nauczy go zawodu, czego się oczywiście nie doczeka, bo można się nauczyć jak robić stoły i krzesła, ale nie jak wykonywać zawód aktora. Każdy ma swój sposób na uprawianie tego zawodu, ma swój sposób Łapicki, swój sposób Mrozowska. Ale oni nie przekazały tego, co mają w sobie, bo ten zawód nie polega na tym jak się go wykonuje tylko co się ma w środku.

TEN NAGŁY BŁYSK

DOKOŃCZENIE ZE STRONY 3

— Niemniej trzeba temu aktorowi stworzyć szansę pokazania tego co ma w środku.

— Ale to już jest ryzyko tego zawodu. Ja zresztą także mam swoją teorię na ten temat: nieprawdą, jest, moim zdaniem, że w Polsce można zginąć. Polska jest tak małym rynkiem, że nie trudno jest zauważyć każde interesujące zjawisko. Reżyserzy obserwują z uwagą każdego aktora, dokładnie śledzą co jest na rynku. I jeśli jest ktoś naprawdę ciekawy to czy gra gdzieś w Tarnobrzegu czy wszędzie jedno gdzie, na pewno będzie zauważony.

Ja oczywiście mówię o tym tak beztrósko bo nigdy nie byłam w Tarnobrzegu i nie miałam tych kłopotów, ale wiem dokładnie jak realizatorzy szukają nowych twarzy. Przy każdym kolejnym przedsięwzięciu pojawia się ten sam problem: zdobyć kogoś, kto przyciągnie uwagę. Ten sam garnitur aktorów nie może ciągle grać. Trzeba być naprawdę bardzo dobrym, żeby się utrzymać przez piętnaście lat na wierzchu. I udaje się to częściej mężczyznom. Bo jak bardzo trzeba być interesującym, żeby interesować sobą publiczność przez tak długi okres czasu?

— Ale pomyłki są popełniane węższej. Już przy egzaminach wstępnych, gdy przyjmowali są ludzie nie mający nic od siebie do powiedzenia. Potem w naturalnej selekcji odpadają z ogromnym poczuciem krzywdy.

— To jest okrucieństwo tego zawodu i też jego bardzo duża uroda.

— Wiele młodych aktorek zauważa z goryczą lub z podziwem: po co reżyser ma się zastanawiać czy zagram tę rolę skoro wiadomo, że zagra ją Janda.

— To też nie jest prawda. Bardzo często właśnie, reżyserzy mówią mi coś innego: „Kryśiu, ja wiem że ty byś to

zagrała, ale ja bym chciał spróbować z kimś innym”.

— Bo boja się tego handicapu, jakim może być Pani narwisko w czółewce, szczególnie debiutantki, ci ambitniejsi.

— Nie wiem, w każdym razie zdarzało mi się zagraniem roli po zrobieniu przez reżysera próbnego zdjęć z różnymi aktorami, dosłownie z całej Polski w tym przedziale wieku. Po przejrzeniu przez reżysera próbnego materiału otrzymałam telefon: czy może Pani zagrać tę rolę? A więc najpierw szansa była dana innym: Coraz częściej też dostają role źle napisane i sam reżyser mówi mi otwarcie: mam nadzieję, że ty coś wymyślisz! Boże, czy ktoś kiedyś napisze dla mnie rolę?

— A czy ma Pani takie przeświadczenie, że są w Pani jeszcze jakieś sfery świadomości czy wiedzy o życiu, których dotąd w żadnej roli nie udało się Pani zademonstrować?

— Trudno mi na to odpowiedzieć ale za każdym razem, gdy dostaję jakąś rolę, szukam w niej czegoś czego nigdy jeszcze nie wykorzystywałam, a co rozumiem. Najważniejsze jest, żeby po przeczytaniu roli naprawdę głęboko zrozumieć o co w niej chodzi. Wczoraj zaczęłam czytać *Dzień jego powrotu* Nałkowskiej, sztuki jakby niemożliwej, lata nie grana i nagle zrozumiałam, że jest to rola dająca mi zupełnie nową szansę. Ciągłe znajduje się tyle wspaniałych rzeczy, których jeszcze nie udało się wyeksplikować dokładnie. Taką przygodę przeżyłam w *Dziwięgdziesiątym trzecim* Przybyszewskiej. Zagrałam dziewczynę, która tak kocha ojca, takiego jakiego go sobie wyobraziła, że denuncjuje go, tylko dlatego, że nie dorasta do jej wyobrażeń. Kiedy dostalam tę rolę uderzyła mnie od razu złożoność problemu! Ale teraz zagrać to tak, aby widz nie miał do tej dziewczyny pretensji, żeby rozumiał dramatyczność jej sytuacji! Zawsze pasjonują mnie trudne zadania aktorskie, a jednocześnie problemy nad którymi ludzie nie zastanawiają się na co dzień. Najwspanialsze są te sploty dramaturgiczne i te momenty kiedy ma się nagle taki blysk w mózgu i rozumie dokładnie ten problem i ten „ból”.

— A czy nigdy nie odczuwa Pani braku środków wyrazu by przełożyć ten blysk na język teatralny?

— Oczywiście, że często mi tych środków brakuje. Prawie nigdy natomiast nie ma wątpliwości jakie to powinny być środki. Natychmiast po przeczytaniu dobrze napisanej roli wiem, kto chodzi po scenie, chociaż często nie umiem tego wykonać, bo determinuje mnie mój temperament czy mój wygląd. Wtedy kombinuję różnymi sposobami, by to pokonać i to jest naprawdę interesujące, to lubię najbardziej.

— Jest to więc praca przeciwko sobie, coś na kształt walki z własnymi predyspozycjami, własnym stylem bycia, czy myślenia. Chyba rezultatem takiej walki była Pani rola Anieli w „Ślubach panielskich”, zagrała zresztą moim zdaniem wspaniale. Wpisała Pani w tę postać coś szalenie współczesnego przy zachowaniu całej konwencji frederowskiej.

— Pierwszy raz słyszę, że to była dobra rola! Reżyser na mnie krzychał potwornie, że Aniela jest od anioła i nie mógł zrozumieć, że nie umiałam zagrać tak jak sobie życzył. To był mój debiut teatralny.

— Ale jednak Panią w tym obsadził i myśle, że nie przypadkiem, to przedstawienie było żywe, także za sprawą Pani.

— Ale ta moja rola była zupełnie w recenzjach pomijana!

— Chyba zresztą w ogóle ma Pani większe szczęście do recenzji filmowych. A jednak należy Pani do tych nielicznych aktorek, które mimo ciągłej pracy w filmie są wierne teatrowi i co bywa zapewne uciążliwe. Myślę jednak, że najbardziej błyskotliwej karierze filmowej, warztał teatralny jest błogosławieństwem, jako jedyne miejsce do autentycznej pracy nad rolą.

— To jedno wiem na pewno, że nie wolno mi odejść z teatru. Teatr to jest magazyn, gdzie zdobywam umiejętności, których nigdzie bym nie zdobyła, ani w telewizji, ani w filmie, ani na estradzie. Są takie okresy, że gram dwadzieścia przedstawień w miesiącu, co przy moich licznych zajęciach bywa rzeczywiście męczące. Czasem zupełnie

różne role jednego dnia. Tak było u premierze *Ślubów panielskich* miałam w Teatrze Małym premierę *Portretu Doriana Graya* i przez cały miesiąc grałam po południu Doriana, a wieczorem Anielę, czegoś bardziej różnego nikt chyba nie potrafiłby sobie wyobrazić. Ale to właśnie nauczyło mnie ogromnej elastyczności.

— Zawsze mam wrażenie bezsilności, najłepszego nawet aktora na ekranie, że prowadzonego przez reżysera filmowego, podczas gdy w teatrze aktor się zawsze jakoś wybroni, zawsze panuje nad sytuacją.

— W teatrze odpowiadam za to, co robię, mogę się ratować, mogę nawet zagrać wbrew całemu spektaklowi. Jest czas na próby i rozmowy podczas których można nawet zaanimować reżysera, a przede wszystkim można ciągle szukać w roli czegoś nowego; czasem w którymś z kolejnych przedstawień pojawi się ten nagły blysk. Kiedyś, w scenie finałowej *Mewy*, udało mi się zagrać coś, czego nigdy dotąd w tej scenie nie było, a co nagle uzmysłowiło mi, że to jest właśnie ta dramatyczna pointa roli i zupełnie świadomie opuściłam całą końcówkę tekstu, która nagle stała się nieważna bo byłaby tylko powtórzeniem tego, co przed chwilą udało mi się powiedzieć innymi środkami. W filmie jest to oczywiście niemożliwe. Ponadto jest tam tysiące niezgranych ze sobą elementów. Zawsze mnie to przeraża, że nakręcam swoje sceny, a potem nie wiem co robią moi koledzy, kiedy mnie nie ma, w jakim kierunku film zmierza.

Trzeba mieć ogromne zaufanie do reżysera. Zdarzyło mi się, że byłam po prostu oszukiwana. Grałam zgodnie z założeniami, potem okazywało się, że film poszedł w zupełnie innym kierunku, a ja zagrałam już pół roli. Zawsze powtarza mi Andrzej Wajda: nie ma takiej siły żeby zagrać dobrą rolę w złym filmie. O tym trzeba pamiętać.

— Tylko że czasem się to sprawdza dopiero po fakcie. Wydawało się na przykład, że rola w „Granicy” stwarzała Pani znakomite możliwości.

— Uważam, że Elżbieta jest jedną z najpiękniejszych postaci w naszej literaturze.

Dlatego przyjąłem tę rolę, co więcej, jestem z niej nawet zadowolona.

— Co nie wystarczyło żeby uratować film. Z niecierpliwością czekam na Pani rolę Ruth w telewizyjnej adaptacji „Niemców”. To interesujące, śledzić jak Pani wpisuje swoją osobowość w rolę tak znane. Zawsze wtedy rodzi się coś nowego, nieoczekiwanego.

— Pociągnęła mnie w tej roli szczególnie niezależność Ruth będąca wyrazem jej ogromnej siły. Poza tym przyszło mi do głowy, że ma ona coś z klimatu kreacji Steve Mc Queena. Postanowiłam więc „polecić Mc Queenem”: leżę na kanapie, palę papierosa, ładne tam numery, że się czegoś boję, pełny luz. Prawdziwa artystka: „Do gazu? Bitte”. Jej to nie interesuje czy ktoś jest faszystą czy antyfaszystą, postępuje tak, jak jej zdaniem powinien postąpić niezależny człowiek, kierujący się własną moralnością. Jest ponad wszystko.

— Są jednak wybory ponad którymi stanąć nie można. Jest się tylko za albo przeciw. I Ruth zdała sobie w pewnym momencie sprawę co jej decyzja oznacza.

— Ruth jest od początku świadoma co ją czeka, ona tylko „trzyma twarz”.

— A ta jej nonszalancja to jest to co akurat ma ochotę pokazać?

— Ja odkryłam w tej roli jeszcze coś, na co, o ile mi wiadomo, nikt dotąd nie zwrócił uwagi. Wszystko co robi Ruth, wynika z wściekłości, że ojciec nie potrafi się zachować w tej sytuacji, jedyny człowiek, który jest jej bliski. Bardzo zależało mi na tym żeby w tej roli to wyszło, bo jej związek z ojcem byłby bardzo piękny.

— Do każdej swojej roli chce Pani znaleźć własny klucz, może więc rzeczywiście to nie jest prawda, że ta Janda ma tak cholernie szczęście.

— Przestałbym myśleć, że to się wszystko jakoś udaje. W teatrze trzeba po prostu być zawodowcem. Szczęście? Może przyjdzie nie wiadomo skąd w dwóch rolach, ale w dziesięciu?

— Rozmawiała: HANNA KAROLAK